Numer zawiera 4 strony
OPŁATA POCZT. UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Cena n-ru 15 gr.
W CAŁYM KRAJU

X muza

tygodnik ilustrowany

ROK I WARSZAWA, DNIA 18 KWIETNIA 1937 R. Nr. 7

FILM ○ TEATR ○ MUZYKA ○ TANIEC ○ RADIO ○ MALARSTWO ○ FOTOGRAFIA ○ SPORT ○ TURYSTYKA ○ MODA ○ KOSMETYKA ○ ROZRYWKI

UWAGA! Tylko dla Czytelników „X-tej Muzy" BEZPŁATNE WYCIECZKI DO ATELIERS FILMOWYCH w czasie nakręcania zdjęć

INFORMACJE TEL. 810-81 godz. 5 — 7

ZBIGNIEW PITERA

DZIECI NA EKRANIE — NA WIDOWNI

Pamiętacie jeszcze z czasów filmu niemego pomysłowe komedyjki dwuaktowe, które były wówczas tak pożądanym uzupełnieniem każdego programu? Tworzyły one nieraz całe cykle przygód jakiegoś z bohaterów, zawsze były pełne przezabawnych sytuacyj i nadzwyczajnych gagów. Wśród nich zaś specjalnie wyróżniały się filmy, w których nie grał ani żaden popularny komik ani żadna inna znana gwiazda — tylko zwykła gromada chłopaków w najrozmaitszym wieku: od takich, co zaczynają dopiero chodzić do dorastających kilkunastolatków. Był wśród nich pocieszny murzynek, zabawnie wywracający oczami, był opasły grubas zawsze niezgodny i niezdarny, było kilka dziewczynek, kilka „czarnych charakterów" i tyle innych sympatyków postaci dziecięcych. Zespół ten znaliśmy pod nazwą „Naszej bandy" (Our Gang) i jego ukazanie się na ekranie zawsze było witane z niekłamaną radością.

O „Naszej bandzie" wspominam na wstępie niniejszego felietonu dlatego, iż uważam, że jej komedyjki były jedynymi w swoim rodzaju filmami dziecięcymi, w których młodociani bohaterowie nie starali się naśladować swych dorosłych kolegów-aktorów, nie starali się w ogóle grać w tym znaczeniu, w jakim robią to dziś „cudowne dzieci" ekranu, w ich kapitalnych perypetiach nie było ani odrobiny sztuczności, czy jakiegoś zakłamania, które byłoby sprzeczne z zachowaniem się dzieci całego świata w tym wieku — „Nasza banda" była poprostu sobą —: bandą rozbawionych dzieciaków, płatających najwymyślniejsze figle, niezgodnych i kłótliwych, gdy chodziło o przewodniczenie w karkołomnych i ryzykownych wyprawach, zawsze solidarnych i „bohaterskich", gdy na szwank była narażona całość gromady.

Takie filmy zasługują na specjalne uznanie nietylko ze względu na ich walory kinowe, skondensowane w pomysłowych gagach, nie tylko dla bezpośredniości i naturalności młodocianych wykonawców, którzy w nich szczerze przeżywają swe dziecięce radości i troski — te filmy są cenne również z innego względu: są najodpowiedniejszym widowiskiem dla samych dzieci i młodzieży w wieku członków „Naszej bandy". Nieskomplikowana treść, pełna takich perypetyj, jakie w pewnym wieku przeżywał każdy z nas, nadzwyczajna żywość akcji, zabawne pomysły, lekko podkreślona tendencja moralizatorska (winny ponosi zasłużoną karę), apoteoza wysiłku gromady i współdziałania — wszystko to przemawia za tym, że te napozór błahe i wyłącznie dla zabawy szerokich rzesz publiczności przeznaczone komedyjki, mogły spełniać również pewne zadanie wychowawcze jako pożyteczna rozrywka dla widowni dziecięcej.

Niestety tak się zawsze składa — zwłaszcza na froncie młodzieżowym kina — że to, co najodpowiedniejsze dla dzieci i młodzieży najchętniej oglądają właśnie dorośli. Tak więc i dwuaktówki „Naszej bandy" były wyświetlane, jako nadprogram przy filmach dla młodzieży zabronionych.

Obok tego zespołu dziecięcego, bodaj jedynego na przestrzeni całej historii kinematografii, istniały i istnieją, pojawiające się co jakiś czas **„cudowne dzieci"** filmowe.

I tu musimy wyjaśnić pewne zasadnicze nieporozumienie.

Które z tych „cudownych dzieci", cieszących się nieraz większą popularnością, niż tyle innych dorosłych, utalentowanych gwiazd, zwykliśmy zwać „cudownymi" i na czym właściwie ta cudowność polega —?

Czyżby na tym, że potrafią one z niezwykłą rutyną odtwarzać pewne postaci i sytuacje, nie, ustępując w swej grze dorosłym aktorom? Czy na tym, że śpiewają, tańczą, śmieją się i płaczą tak przymilnie, rozkosznie, „cudownie" —? Przecież właśnie przez te swoje wszystkie „cudowne", nieprawdopodobne wyczyny zadają zupełny kłam swojej dziecięcej prostocie i naturalności — przez „dorosłe" myślenie i reagowanie na otaczające je zjawiska, stają się czymś monstrualnie sztucznym, sprowadzają swe produkcje do rzędu zwykłych popisów cyrkowych. Bo przecież nikt mi nie powie, że taki np. słynny przed kilkunastu laty **Jackie Coogan** był w codziennym życiu taki sam, jak na ekranie, gdzie uparta tresura reżysera tworzyła rzeczywiście swojego rodzaju cuda, nie wykraczające jednak poza ramy tresury zwierząt w podrzędnym cyrku. Nie trzeba chyba dodawać, ile wspólnego ma to wszystko ze sztuką.

Takich „cudownych dzieci" przewinęło się ostatnio przez nasze ekrany całe mnóstwo. I nie twierdzę bynajmniej, że wszytkie filmy przez nie nagrane były kiepskim cyrkiem. Że Jackie Coogan potrafi być sobą, grać naturalnie, bez „cudów" — pokazał nam to w swoim ostatnim — ostatnim co do czasu i co do jego kariery filmowej — obrazie p. t. „Przygody Tomka Sawyera", nakręconym wg. popularnej powieści Marka Twaina. On, Jn. Durkin, grający rolę przedsiębiorczego Hucka i Mitzi Green, jako ukochana Sawyera nie zgrywali się tutaj wcale — byli sobą: dorastającymi dziećmi.

To samo można powiedzieć o jednym z następców Coogana, za jakiego uważano swojego czasu **Jackie Coopera.** Brzydki, raczej niesympatyczny, „charakterystczny" typ dziecka — grał początkowo b. naturalnie i szczerze („Czemp" — „Skippy"), aż ćwiczony przez reżyserów wpadł w manierę i nabytą rutyną odtwarzał swe szablonowe, tragiczno-łzawe role („Dzielny chłopiec" — „Zapomniany człowiek" — „Dinky"). W ostatnim filmie („Dzieci ulicy") jest znów szczery i bezpretensjonalny w b. odpowiedniej roli.

Typ wymuskanego przyjemniaczka, dziecięcego dżentelmena i małego lorda reprezentuje od pewnego czasu **Freddie Bartholomew** — zupełnie już zmanierowany i powtarzający do znudzenia swoje wyuczone gierki. A początkowo zapowiadał się b. obiecująco.

I znowu dla kontrastu wspomnijmy o pięknym filmie Franka Borzage p. t. **„Chłopcy z placu broni"**. Realizatorzy wprowadzili nas tu w świat zabaw i harców węgierskich chłopców, zgrupowanych w dwu przeciwnych obozach, zacięcie ze sobą współzawodniczących. Walka, jaka stale się między nimi toczy, nie pozbawiona jest silnych akcentów dramatycznych, w których bohaterstwo przeplata się ze zdradą, odwaga z tchórzostwem, egoizm z solidarnością i poświęceniem. I znowu można pisać hymny pochwalne na cześć młodych wykonawców i ich cudownej „gry", której właściwie grą nazwać nie można, bo była szczerym, naturalnym przeżywaniem tego, co się na ekranie działo. Byli to **George Breakston** (Nemeczek), **Jimmy Buttler** (Beka), **Jackie Searl** (Gereb) i wielu innych.

Rekord powodzenia tak u starej, jak i tej najmłodszej publiczności pobiła w ostatnich dwu latach bezkonkurencyjna **Shirley Temple.** Jest ona bezkonkurencyjnym przykładem „cudownego dziecka", obciążonego tymi wszystkimi znamionami robionej „cudowności", o których wyżej pisałem. Zmyślna handlowość podejścia producentów filmowych do dziedziny sztuki również znalazła tu swój najbardziej typowy wyraz. Bo dla kogo właściwie kręci się tego rodzaju filmy? Te wszystkie bzdurne historyjki z Shirley Temple, w których na potęgę pętają się gangsterzy i kidnaperzy, sypią się raz po raz strzały, czasem padają trupy, których treść zawiera nieraz cały szereg momentów drastycznych — są chyba najmniej odpowiednią rozrywką dla najmłodszej publiczności. Działają wręcz szkodliwie i szarpią niepotrzebnie dziecięce nerwy. Kto uczestniczył w seansach tego rodzaju filmów — zwłaszcza na prowincji, gdzie niema żadnych ograniczeń dla wieku, w którym dzieci mogą przychodzić do kina, gdzie każda matka uważa za święty obowiązek pokazać „cudowne dziecko" swojej pociesze i w tym celu przyprowadza do kina nawet kilkuletnich brzdąców (co jest podobno policyjnie zabronione) — ten wie, z jakim przejęciem reaguje na film ta młodociana widownia, jak często rozlegają się wśród niej okrzyki przestrachu, a nieraz płacze...

Rozumiemy, że film musi być **„dla wszystkich"**. Dzieci mają tu Shirley Temple — a starsi prócz tego nieco pieprzyku w postaci hitoryjki miłosnej „mamusi" i „tatusia", okraszonej do smaku gangsterami, strzelaniną i policją.

Takie filmy są **zbyteczne.** Nie potrzebują ich, ani dzieci, zwłaszcza te najmłodsze, ani dorosła publiczność, której już znudziły się produkcje tresowanego dziecka, pozbawionego swego naturalnego wdzięku, prostoty i szczerości — dziecka, które we wszystkim jest „dorosłe", a przez to samo sztuczne, zakłamane, cyrkowe. Amerykańska publiczka lubi takie wybredne „cuda" — my na to patrzymy nieco inaczej. I możemy być pewni, że mamy rację.

— — — — — — — — —

Pozostały tylko dzieci — najmłodsza publiczność kinowa. Publiczność, dla której światowa produkcja filmowa nie chce kręcić specjalnych filmów. I może producenci, dla których alfą i omegą jest ilość zer na końcu liczby bilansu rocznego, mają rację. Dzieci przecież nie będą czekały zbyt długo na swoje filmy. Zmądrzeją i... wyrosną. I pójdą do kina na film z Marleną.

Więc poco tworzyć filmy specjalnie dla dzieci?...



MARY DIDUR-ZAŁUSKA i JERZY OLGIERD
Kreują role Wiktorii i jej małżonka, konsula amerykańskiego w Tokio w operetce Abrahama „WIKTORJA i JEJ HUZAR" (premiera 20 b. m.) na scenie teatru „8.15" (Śniadeckich 5)

NASZE WYWIADY — LUCIENNE BOYER W WARSZAWIE



Lucienne Boyer jest dziś najpopularniejszą pieśniarką nie tylko w Paryżu, ale i na całym świecie. Można o niej śmiało powiedzieć „przybyła zagrała i zwyciężyła". Znamy Ją wszycy z płyt lecz to co pokazała nam w Warszawie przeszło wszelkie oczekiwania. Jest to nie tylko pieśniarka, ale i fenomenalna diseuse, aktorka, której każde słowo znajduje odźwięk w duszy. Jej uśmiech, każdy gest, tak pełen dystynkcji, przytem wybitna uroda; sprawiły, że słuchaliśmy Jej wszyscy z zapartym oddechem. Każda Jej piosenka to nowelka z życia — a temat główny to miłość.

Pokazała nam miłość szlachetną, czystą, pokazała nam jak kochają „nocne motyle", dziewczyna wschodnia, oraz dziewczyna paryska. Nie wyobrażam sobie większego artyzmu w odtwarzaniu jej klasycznych „Parlez-moi d'amour" i „Si petite". Jaka wiośniana, pełna uroku jest jako kwiaciarka paryska, która z koszykiem róż zaprasza „Prenez mes roses". Byłem jednym z niewielu, którzy mieli możność przebywania z Lucienne Boyer. Jaka prostota w życiu prywatnym. Emanuje od niej czar, któremu niepodobna się oprzeć. Warszawą jest zachwycona, a gdy pokazałem jej Rynek Starego Miasta, była „enchanté", a najlepiej o tem świadczą wykrzykniki „formidable", „magnifique". Zwróciła się do mnie z zapytaniem, dlaczego tak słaba jest propaganda turystyczna Polski zagranicą. Z Warszawy wyjechała na dalsze tournée: Wiedeń, Budapeszt, Bukareszt, Sztokholm, Oslo. 15 maja otwiera znów w Paryżu swój słynny kabaret „Chez Elle". Zawsze pełna inicjatywy i energii. W Warszawie pozostawiła po sobie wrażenie, jakie potrafią wywrzeć prawdziwi artyści.

Jean Boitel.

TO I OWO

Z wiedeńskich kół filmowych donoszą nam, że Ladis-Kiepura został zaangażowany do filmu „Nietoperz", jako partner Renaty Müller. Film nakręca niemiecka wytwórnia „Bavaria", scenariusz oparty jest na słynnej operetce Straussa.

* * *

Jeden z najlepszych polskich filmów p. t. „Młody Las" osnuty na tle sztuki J. A. Hertza, ma być wkrótce wyświetlany we Francji, w dwóch wersjach, polskiej i francuskiej.

* * *

Podobno Hollywood zamierza nakręcić film z życia Carusa. Napisanie scenariusza do tego filmu powierzono amerykaninowi Burnetowi Herschey'owi, który przebywa obecnie we Włoszech — i zbiera materiał do tego ciekawego filmu.

* * *

W filmie „Maytime" usłyszymy arię Visi d'arte z opery „Tosca" oraz urywki z Il Trovatore, wykonane przez słynną parę śpiewaków Jeanette Mac Donald i Nelsona Eddy. Sceny operowe mają być filmowane specjalną nową techniką.

MARLENA DIETRICH ROZWODZI SIĘ... I WYCHODZI ZAMĄŻ ZA DOUGLASA FAIRBENKSA MŁODSZEGO

Całe Hollywood poruszone jest wiadomością o mającym nastąpić rozwodzie Marleny i jej rzekomym małżeństwie z Douglasem Fairbenksem młodszym. Marlena Dietrich i jej mąż bawiący obecnie w Londynie wręcz zaprzeczają tym plotkom, które powstały prawdopodobnie naskutek stałego przebywania Marleny w ciągu ostatnich miesięcy w towarzystwie Douglasa Fairbanksa, a który jest jej dawnym serdecznym przyjacielem.

Z POLSKIEGO ŚWIATA FILMOWEGO

DWA FILMY, KTÓRYCH UKAZANIE SIĘ BĘDZIE WIELKIM WYDARZENIEM DLA KINOMANÓW

Jest tu mowa o dwuch filmach młodej, a już zasłużonej wytwórni „Femika-Film", która może się poszczycić takim przebojem, jak „Ordynat Michorowski", wyświetlanym od szeregu tygodni z wielkim sukcesem na ekranie kina „Capitol" w Warszawie i na czołowych ekranach Polski.

Na pierwszy ogień pójdzie popularny wodewil Nestroy'a, p. t. „Trójka hultajska", wciąż świeży, wciąż wesoły i porywający, mimo że sobie liczy kilkadziesiąt lat, co jest zresztą najlepszym dowodem jego nieprzemijającego powodzenia.

„Trójkę hultajską" stanowić będą: Stanisław Sielański, którego niewygasły nerw komiczny nie przestaje ciągle budzić śmiechu, Stanisław Woliński, typ dryblasa komicznego, jeden z najlepszych komików polskich, wreszcie Józef Kondrat, stanowiący świetne dopełnienie dwóch pierwszych wesołków. Ta pierwszorzędna obsada komiczna, uzupełniona jest Mieczysławą Ćwiklińską, Tamarą Wiszniewską, Heleną Zarembiną, Józefem Orwidem i Władysławem Grabowskim.

Dodajmy do tego czujną reżyserię Henryka Szaro, a otrzymamy jedyne w swoim rodzaju przekomiczne widowisko filmowe, które od śmiechu rozsadzi Warszawę.

Drugim filmem „Femika-Film" będzie „Kobieta bez skazy", rzecz osnuta na tle świetnej powieści Gabrieli Zapolskiej. Już sama osoba Zapolskiej, pisarki tak płodnej i utalentowanej do ostatniej chwili życia, gorejącej płomieniem najwyższej twórczości pisarskiej, pozwoli mniemać, że „Kobieta bez skazy" wejdzie do żelaznego repertuaru kinematografii polskiej i zdobędzie takie powodzenie, jak inne filmy, oparte na tematach tej autorki, jak naprzykład „Pan Policmajster Tagiejew" i t. d. Dla godnej autorki „Femika-Film" szykuje godną obsadę, nie licząc się z kosztami, byle tylko „Kobieta bez skazy" stała się wielkim sukcesem.

JESZCZE O INSTYTUT FILMOWY

W pierwszych numerach „X Muzy" drukowaliśmy felieton red. L. Brodzińskiego o potrzebie Instytutu Filmowego. Nie przeszedł on bez echa, dostaliśmy masę litów solidaryzujących się z zawartymi w nim uwagami, zwłaszcza krytykującymi nasze „gwiazdy". Jeden list Czytelnika był ze sprostowaniem, że jego nie razi dykcja p. Almy Karr...

Wyrazem słusznych zainteresowań jest artykuł Dołęgi-Mostowicza na łamach „Kina" Nr. 13 z dn. 28/III, w którym autor „Znachora" pisze między innymi:

Pamiętałem dobrze, że przed coś czternastu laty było ich w samej Warszawie około... 30-tu! W owym czasie wszystkie razem wzięte polskie wytwórnie filmowe nakręcały plus minus... dwa filmy rocznie.

I oto rewelacyjne odkrycie: obecnie, gdy się tych filmów robi bez liku, w całej Polsce nie ma ani jednej szkoły filmowej.

Oczywiście nie żałuję tych dawnych. Były to imprezy oparte przeważnie na świadomej ignorancji właścicieli i na nieświadomej głupocie uczniów. Chodziło po prostu o wypompowanie największej ilości gotówki z kieszeni kozienickich i niekozienickich „mażycieli co pod każdym zględem".

Ale dzisiaj już nie tylko oni odczuwają brak szkół filmowych. Odczuwa to publiczność polskich filmów (najdotkliwiej) i wytwórnie.

Wręcz tragicznie na przykład wygląda sprawa amantów. Nie chcę tu przytaczać nazwisk. Każdy bywalec kinowy umie je na pamięć. Nieco lepiej jest z obsadą sił kobiecych, ale to „lepiej" przedstawia się też rozpaczliwie.

Tymczasem nasz przemysł filmowy rozwija się w szybkim tempie. Zapotrzebowania nowych sił aktorskich rosną z roku na rok. Jeszcze dwa trzy lata i dojdziemy do katastrofy.

Jestem przeświadczony, że dotychczasowa krótkowzroczna gospodarka w tej dziedzinie zapędzi film polski ostatecznie w ślepą uliczkę prowincjonalnej szmiry, jeżeli już natychmiast nie chwycą się ludzie zainteresowani planowych środków zaradczych.

Takim środkiem może być tylko Instytut Sztuki Filmowej z wydziałami: aktorskim, reżyserskim, operatorskim i dekoratorskim, bo we wszystkich tych dziedzinach odczuwamy rosnący głód fachowców, plagę dyletantyzmu i wciąż potworniejącego szablonu.

Nie wątpię, że Ministerstwo Oświaty udzieliłoby takiemu Instytutowi całkowitego poparcia. Nie wątpię, że jeżeli nie w kraju, to za granicą znaleźć można wykwalifikowanych instruktorów i wykładowców, co pociągnie za sobą mniejsze wydatki, niż beznadziejna konkurencja z obcymi filmami.

Powstanie Instytutu pozwoli też na odkrycie i wyłowienie z masy tęskniących do laurów filmowych „fotogenicznych" dostatecznej ilości rzetelnych talentów, które się dziś marnują, a które chętnie opłaciłyby później koszty edukacji z przyszłych gaż.

Niewątpliwie w tej ważnej sprawie wypowiedzą się wszyscy ci, którym dobro polskiego filmu leży na sercu.

METAMORFOZY ŚWIETLNE WIEŻY EIFFEL'A NA WYSTAWIE W PARYŻU

Wieżę Eiffel'a zbudowano na Wystawę Powszechną, która miała miejsce w Paryżu w roku 1889. Krytykowana niegdyś jako budowla rzekomo szpecąca Paryż, związała się z biegiem czasu tak nierozerwalnie z tym miastem, iż jest dziś jakgdyby symbolem jego panoramy.

Wieża Eiffel'a służy obecnie radiofonii, reklamuje wieczorami jedną z francuskich firm samochodowych. Poza tym informuje Paryżan o czasie i temperaturze dzięki umieszczeniu na niej gigantycznego zegara i termometru świetlnego. Na Wystawie tegorocznej wieża Eiffel'a będzie jednym z elementów wielkich iluminacji nocnych, które zapowiadają się ciekawie. Do najbardziej interesujących pomysłów należy zamiar wyświetlania na niej sztandarów państw biorących udział w Wystawie. Pierwsze piętro ma być iluminowane sztandarami państw zagranicznych. Część górna wieży, od pierwszego piętra począwszy, zmieniać się będzie jednocześnie na olbrzymi sztandar francuski.

Projektowane iluminacje wieży Eiffel'a są tylko jednym fragmentem ciekawych atrakcji świetlnych, które demonstrowane będą na Wystawie.

K.

DLA CIEBIE PANI!

Wiosna jest już w pełni. To nic, że często jeszcze padają deszcze, że zimny wiatr przenika do szpiku kości. Elegancka pani nie zważa na takie drobnostki i kiedy tylko pojawiają się pierwsze „jaskółki wiosennej mody", odrzuca futro, w kąt idą ciepłe szaliki, mufki i wysokie boty i pani ukazuje się światu w nowym mundurze. Jej królewskiej mości Mody Wiosennej 1937.



Kapelusik z błyszczącej słomy w formie hełmu ślicznie zdobi główkę pani.

O tem co będziemy nosili na wiosnę pisaliśmy obszernie na tym miejscu w poprzednich naszych numerach. Dziś będziemy pisali o tych wszystkich „petit rien", tak doniosłe mających znaczenie w całości naszej toalety. A więc najważniejsze to kieszenie.

Możnaby nawet powiedzieć, że kieszenie są jednym z symbolów tegorocznej mody. Na rewii w jednym z najelegantszych magazynów warszawskich zademonstrowano palto z pięcioma, asymetrycznie umieszczonymi kieszeniami, palto z dwoma „kieszeniami — monstre", każda długości conajmniej 50 cm., modele z kieszeniami najrozmaitszego rodzaju — naszywane, cięte, ozdobione guzikami, stebnowane, zaokrąglone, kwadratowe... jednym słowem: powódź kieszeni!

Oprócz kieszeni do najmodniejszych „petit rien" tegorocznej wiosny należą chusteczki i kwiaty. Elegancka pani musi mieć cały stos chusteczek, specjalnie dostosowanych do tualety. Chusteczki sportowe, popołudniowe, wieczorowe, białe i kolorowe, lniane i jedwabne, wychylają się triumfalnie z jednej z licznych kieszeni umieszczonych na sukni, palcie czy kostiumie.

Najpiękniejszym jednak okazem wszechwładnej mody są obecnie kwiaty. Kwiaty są wszędzie. Poczynając od kapeluszy otoczonych wianuszkami, lub przybranych pęczkami kwiatów stroją one całą sylwetkę eleganckiej pani. Na sukienkach nosi się je na ramieniu, wkłada się za pasek, girlandy ich opadają z karku na plecy, obszywa się nimi dół sukni popołudniowej. Nawet pantofle nosimy w tym roku zrobione z jedwabiu deseniowego w barwne kwiatki. Kwiatami przybiera się rękawiczki, torebki, okrycia. Kwiaty są wszędzie. Tak więc tegorocznej wiosny bajecznie kolorowa piękna pani obsypana będzie kwieciem.

a. f.

Jak się uchronić przed piegami

Wiosna to nietylko okazja do nabycia nowego kapelusza, kostiumu lub innych części toalety, ale jest to okres wytężonej i specjalnie starannej pielęgnacji cery.

Pamiętać należy, że wiosenne słońce bywa zdradzieckie, jego promienie niosą nietylko radosne światło i ciepło, lecz w wielu wypadkach groźne niebezpieczeństwo w postaci brzydkich piegów. Przyroda jest czasem złośliwa i słońce, prócz promieni cieplnych, zawiera i promienie działające chemicznie, zwane ultrafioletowemi, których na wiosnę jest najwięcej i one to właśnie wywołują piegi.

Piegi są to równe, gładkie, nie wzniesione ponad powierzchnię plamy. Liczba ich niekiedy wynosi tylko kilka, innym razem są gęsto usiane, tak, że miejscami zlewają się ze sobą, tworząc całe przestrzenie, podobne do skóry lamparciej.

Piegi najczęściej umiejscawiają się na twarzy, na policzkach, nosie, rzadziej na skroniach i powiekach, spotykane są również na szyi, grzbietach rąk i przedramienia. Nierzadko zaś dekolty, zwłaszcza jasnych blondynek oraz rudowłosych, pokryte są całemi koloniami brązowych piegów.

Jaka jest przyczyna powstawania piegów, dotychczas nie wyjaśniono. Faktem jest tylko, że pod wpływem promieni słońca, występują one najczęściej u osobników wątłych i niedokrwistych.

Piegi zjawiają się zazwyczaj w lecie, bledną lub giną zupełnie w zimie. Leczenie nie należy do łatwych zadań i częstokroć daje wyniki niezadawalniające.

Usuwanie piegów uskutecznia się za pomocą złuszczania. Należy jednak uświadomić sobie, że barwik leży głęboko w tkance podskórnej, złuszczenie więc może dać wyniki tylko chwilowe.



Kapelusz filcowy nadaje się wybitnie do popołudniowego kostiumu.

Złuszczenie może być radykalne lub też powolne. Radykalne złuszczenie naskórka może stosować wyłącznie lekarz.

Bardziej godne polecenia jest przeprowadzenie leczenia środkami łagodnymi, które niedają przykrych skutków w postaci zwiotczeń skóry oraz zadrażnień.

Przy usuwaniu piegów należy uświadomić sobie, że na stałe znikają one tylko w wyjątkowych wypadkach. W olbrzymiej ilości po zastosowaniu środków na piegi, powracają one po pewnym czasie.

Osoby, mające ten przykry defekt, powinny przeprowadzić racjonalne leczenie 2/3 razy do roku, następnie zastosować środki ochraniające w postaci kremów ochronnych.

W najnowszych czasach zaobserwowano, że higieniczny róż i puder działa także ochronnie przeciw powstawaniu piegów. W celu ochronnym bardzo wskazanem jest również noszenie na słońcu czerwonego kapelusza, parasolki itd.

W ostatnich czasach światłolecznictwo w postaci naświetlań lampą kwarcową daje wyniki szybsze, lecz również nie trwałe.

Z wielu metod usuwania piegów, lekarz specjalista winien rozstrzygnąć, którą wybrać należy do danej cery.

Skóry wrażliwe i delikatne, a tylko przeważnie takie pokrywają się piegami, powinny być złuszczone tylko łagodnemi metodami, by uniknąć podrażnień i przedwczesnych zmarszczek.

Dr. med. J. Świtalska

Z cyklu: „WIELKIE KARIERY"

Ukażą się wkrótce: Jadwiga Smosarska, Maria Modzelewska, Jadwiga Andrzejewska i in.

Wkrótce też rozpoczniemy cykl „Podcięte skrzydła". Będą to ciekawe skróty karier zmarnowanych, zniszczonych przez otoczenie, atmosferę pracy, lekkomyślność cudzą czy własną.



Helena Grossówna

Wielka kariera?

Czy to nie przesada?

Raczej marnowanie w rewiach, czy komediach muzycznych „Cyrulika" wdzięku i pewnego indywidualnego charme'u, jaki w wysokim stopniu posiada „polska Norma Scherer".

Z dzisiejszych gwiazd filmowych w Polsce najlepiej fotografuje się Grossówna. To fakt niezaprzeczony. W ciągu 2-ch lat nakręciła fantastyczną — jak na nasze stosunki — ilość filmów. Ani razu nie była należycie wykorzystana, ale zawsze stała na wysokości zadania, mimo dość ubogiej jeszcze techniki aktorskiej.

A jednak wielka kariera!

Dziewczątko z Torunia pracowało w firmie kapeluszniczej, umiłowanie tańca pociągnęło ją do teatru, gdzie z zapałem statystowała, a gdy któraś z zawodowych aktorek zaniemogła, zastępowała ją, partnerując między innymi ś. p. Witoldowi Rolandowi w jakimś egzotycznym tańcu. Potem reż. Zdzitowiecki, podówczas kierownik Operetki Miejskiego Teatru w Toruniu zwrócił uwagę na wdzięk, dystynkcję i nerw sceniczny młodziutkiej statystki. Polecił ją opiece baletmistrza i szybko „mała Helcia" (tak nazywała ją publiczność) wybiła się na jedną z solistek baletu. A potym, zaręczywszy się z obecnym swym małżonkiem, opuściła teatr i w 1928-ym roku wyszła zamąż we Francji, zamieszkując w zamku Poli Negri Rueil Seraincourt pod Paryżem. Ślub w kaplicy zamkowej już był niewątpliwie dla skromnego dziewczęcia z Pomorza wstępem do jakiejś wielkiej kariery życiowej.

Pola Negri zorganizowała w tym czasie, a raczej pomocą finansową umożliwiła zorganizowanie baletu polskiego we Francji, a Grossówna weszła siłą faktu do tego zespołu jako solistka, kontynuując zarazem studia u Marii Rudkowskiej, Matyldy Krzesińskiej (faworyty ostatniego cara) i Bronisławy Niżyńskiej.

Z zespołem rosyjskiego baletu Rasputinej (córki historycznego Rasputina) objechała całe Włochy, a wreszcie tańczyła z baletem polskim na uroczystości imieninowej Ignacego Paderewskiego w Morges.

Potym powrót do Polski. Stanowisko primabaleriny w Operetce toruńskiej, Operze poznańskiej, tournée z „Yachtem miłości" po całej Polsce w charakterze wodewilistki z zespołem teatru „8,30" i jako naturalna konsekwencja tego tournée debiut w Operetce warszawskiej, a potem kariera filmowa.

I choć nikt właściwie o rozwój sceniczny Grossówny nie dba obecnie, jednak to co zdobyła, dla niej samej może jest nieraz niespodzianką.

Wielka kariera!

Ileż to dziewcząt zazdrości małej pomorzance, której uroczy profil zna cała Polska z ekranu.

Inż. M. DEDERKO

WYKAŃCZANIE PRAC AMATORSKICH

W ostatnich czasach fotografja amatorska bardzo się rozwinęła.

Mało tego, jej rozwój idzie ciągle naprzód.

Jeszcze przed 10—15 laty mieliśmy w Warszawie zdaje się że jedną tylko maleńką wykańczalnię prac amatorskich.

Dziś jest ich już bardzo wiele, przyczem parę z nich postawionych bardzo racjonalnie z dużym nakładem kapitału.

Praca w nich jest tak udoskonaloną, że amator w parę godzin po oddaniu swego zdjęcia, otrzymuje już gotowe elegancko wykończone odbitki.

Przypuszczam, że czytelnika powinien zainteresować bieg pracy w takiej wykańczalni, postaram się tę pracę możliwie udostępnić w niniejszej notatce.

A więc kochany czytelniku, zrobiłeś 8 zdjęć na rolce i dałeś to do wykonania do jakiejkolwiek z wielkich firm w Warszawie przed godziną 10 rano.

Otrzymałeś pokwitowanie z numerkiem.

W kopię pokwitowania z tymże numerkiem zawija się rolkę i wrzuca do specjalnego kosza, który odsyła się do laboratorjum.

Rolka musi być przede wszystkim wywołana.

Używamy do tego wysokich na 110 cm. tanków, zawierających 100 litrów wywoływacza.

Ponieważ zdjęcia mogą być w rozmaity sposób naświetlane nie możemy tutaj używać zwykłych amatorskich wywoływaczy.

Służy do tego wywoływacz powolny tzw. wyrównawczy, którego właściwością jest to, że jednakowo długo wywołuje zdjęcie jak niedoświetlone tak prześwietlone.

Czas wywoływania waha się od 20 minut, po upływie których laborant przy bardzo ciemnem ciemno zielonem świetle ciemnicowym podrzuca błony, zawieszone na specjalnych drutach z ciężarkami u dołu, do takiego tanku z wodą bieżącą i następnie na 10 do 15 minut do utrwalacza.

Z utrwalacza, przez specjalną przerzutnię przerzucamy negatywy do takiejże formy tanku z wodą bieżącą na pół godziny do przepłukania.

Aby rolki się nie poplątały te drążki trzymające błonę są tak urządzone, że u góry mają szczypczyki w które wkładamy złożone pokwitowanie zamówienia.

W ten sposób przez cały czas manipulowania pokwitowanie zawsze jest przy błonie, tak jak paszport przy statecznym obywatelu.

Wypłukane błony zawieszamy w szafie do szuszenia, z grzejnikami elektrycznymi i silnymi wentylatorami.

Wypełniona mokremi błonami szafa suszy je w 12 minut.

Suche błony idą na specjalne stoły, gdzie je laborantki obcinają, sortują i wkładają do specjalnej kopertki, która zawinięta w swoje pokwitowanie idzie do kopiarki.

Duszą takiej kopiarki są nowego systemu nadzwyczajnie udoskonalone przyrządy do kopiowania.

Są to specjalne bardzo dowcipnie skonstruowane maszyny.

Kopistka dobiera tylko papier nadający się swoją gradacją do danego negatywu.

Naświetlanie jest automatycznie regulowane fotocelą, dzięki której nie może być źle naświetlonej odbitki.

W kopiarce jest specjalny numerator, który stempluje odbitki danego obstalunku, jednym i tym samym numerem, który odbijamy też na pokwitowaniu obstalunku.

Podczas kopiowania, skopiowana odbitka przechodzi do laborantki wywołującej za pomocą elektrycznego transformatora.

Zaś negatywy wracają do swojej koperty i zawinięte w kopię pokwitowania idą do sortowni.

Wywołane odbitki utrwalamy i przerzucamy do specjalnych rotacyjnych płuczkarek, które w 15 minut najdokładniej je płuczą z resztek wywoływacza.

Następnie później suszenie, służą do tego kosztowne maszyny bębnowe.

Zasada suszenia jest taka, że odbitka automatycznie przykleja się do polerowanej powierzchni ogrzewanego bębna.

Na wysuszenie odbitki potrzeba ⅓ obrotu bębna.

Wysuszone odbitki padają jedna po drugiej do kosza z którego przechodzą do sortowni.

Sortownia zorganizowana jest następująco:

Jest tam szafa ze 100 przegródkami.

Pamiętamy, że kopiarka numerowała nam każdą odbitkę, co ułatwia nam włożenie jej do przegródki ze stosownym numerkiem.

Po rozsortowaniu, bierzemy koperty z negatywami, na pokwitowaniach, których znajdujemy numery.

Jeżeli zajrzymy teraz do stosownej przegródki szafy, znajdziemy tam potrzebne odbitki.

Następnie sprawdzenie, obcięcie, wycieniowanie i gotowy obstalunek idzie do sklepu, a tobie kochany czytelniku zostaje tylko już po paru godzinach wykupić swoje piękne odbitki.

Są jeszcze inne cuda w wykończalni, które innym razem opiszę.

PLATONICZNA GRZESZNICA

Kto jest w Ameryce wrogiem moralności N. 1? Mae West.

Złóżmy wizytę w jej willi, zobaczymy jak wygląda Sodoma i Gomora nieprzyjaciółki cnoty.

Mieszczaństwo amerykańskie wyobraża sobie Mae West jako siedlisko zarazy moralnej, a jednocześnie wykwit luksusu i przewrotnej rozrzutności. Wiemy przecież o wannie z kości słoniowej i telefonie wysadzanym szmaragdami.

Ale gość Mae West, który zwiedza jej home nie dostrzega ani śladu rzekomego bogactwa słynnej gwiazdy. Do łazienki gospodyni go nie prosi, telefon natomiast obserwuje dokładnie i widzi, że to jest zwykły, najzwyklejszy aparat, jaki stoi na każdym biurku.

A wielka grzesznica?

Może przed objektywem pozuje i gra pompatyczną kokotę, wiecznie pijaną i wypalającą po 100 papierosów dziennie w długiej cygarniczce. W życiu prywatnem Mae West nie pije alkoholu i nie pali wcale.

Służąca podaje oranżadę.

Wiem, że to jest modne mówi Mae West napadać na mnie i lżyć najgorszemi wyrazami. Dla intelektualistów jestem za banalna, dla producentów za kapryśna, dla żon — zaniebezpieczna, a dla cenzury — zawyzywająca. Mam tylko jedną przyjaciółkę w życiu — publiczność.

Rzeczywiście vamp ma rację. Od pałaców do chat Texasu w każdem kinie jest pełno, gdy na afiszu widnieje nazwisko Mae West.

Nie tworzę dzieł sztuki — mówi dalej szczerze — chcę tylko ludziom dać trochę śmiechu. Dziękuję serdecznie za honorowe odznaczenia, medale i akademickie nagrody. Czasy są ciężkie, życie jest szare — staram się dać trochę podniety, sensacji, śmiechu. Raporty kasowe dowodzą, że mojej publiczności to wystarcza.

Zarzucają mi ciągle, mówi Mae West, popijając, że gram dla galerii. Istotnie, tak jest. Na galerii siedzą przecie miliony ludzi, dla których nowy film to wielkie przeżycie i ucieczka od trosk codziennych. A publiczność z foteli? Przychodzi zwykle, aby mądrzyć się i krytykować. Jestem byłą aktorką teatralną. Jeździłam kiedyś po Stanach Zjednoczonych z trupą wędrowną. Chce pan zapewne wiedzieć, kiedy to było? Niema nic głupszego, jak opowiadać o swoich latach Niechaj to uczynią za mnie moi krytycy dla których nigdy nie grałam i nigdy grać nie będę. Gram dla publiczności, nie tej z lóż i krzeseł, bo dzięki tej umarlibyśmy wszyscy z głodu, ale dla tej najszerszej najmniej snobistycznej i zepsutej.

Chce pan zobaczyć moje listy? Proszę bardzo. Jestem z nich dumna. Bo nie są to listy miłosne fryzjerczyków i subiektów. To listy dziękczynne szarego widza, który mi jest wdzięczny za chwile złudy którą dałam. Wszystkie te listy są ponumerowane i posegregowane. Na każdy udzielam odpowiedź, wychodząc z założenia, że autor każdego z nich przyjdzie na mój następny film. Jak pan widzi vamp jest dobrym kupcem. Białe wypieszczone palce Mae West przebiegają szybko po kartkach korespondencji, która piętrzy się wysoko na półkach szafy.

Nie pracuję ze sławnymi reżyserami, bo nie mogę pogodzić się z nimi. Sama reżyseruję moje filmy, sama piszę scenariusze i sama jestem producentem. Nie zamierzam mojej sztuki pogłębiać, sprzedaję konsumentowi życie samo, takie jakie ono jest! kończy platonicznie grzesznica Ameryki. K.

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

Romans filmowy Leopolda Brodzińskiego 7)

XI.

„SENSACJA"

Tom miał przez 10 dni jeszcze pracować z Matteim. I pracował. Pracował z wytrwałością, z uporem niemal, nie myśląc o Thei. Aż wreszcie ostatniego dnia w biurze wytwórni musiał pomyśleć — wbrew swemu niezłomnemu postanowieniu — bo reżyser powitał go sensacyjną wiadomością.

— Wczoraj w Londynie odbył się ślub naszej gwiazdy.

— ?...

— Thea Bianchi wyszła zamąż za jakiegoś rumuna Geornescu. Podobno piękny chłopak!...

XI

Wywiad.

Żona moja nie może udzielać żadnych wywiadów osobiście, gdyż cierpi na migrenę — odezwał się do zgromadzonych w dolnym hallu wielkiego hotelu dziennikarzy Geornescu — ale jestem przygotowany, by odpowiedzieć na wszystkie pytania...

Londyńscy dziennikarze zapanowali nad sobą. Ich rozczarowanie nie ujawniło się żadnymi szmerami, czy gestami. Tylko nosy wydłużyły się trochę.

Młody poszukiwacz sensacji, najwziętszy reporter filmowy, John Bardhy zaczął odczytywać pytania, uprzednio już zredagowane.

Ten „standartowy" typ wywiadów, wprowadzony w swoim czasie przez Chaplina, a potym kontynuowany przez Polę Negri i Ryszarda Barthelmessa (w najświetniejszych latach popularności zapomnianego już gwiazdora), przyjął się w londyńskim świecie filmowo-dziennikarskim. Naturalnie, stosowano go tylko względem amerykańskich gwiazd, dziś jednak — ze względu na specjalny gatunek sensacji, jakim być miała rozmowa z Theą, ofiarowano paryskiej śpiewaczce ten rodzaj „pompy", jaka odtąd stać się miała udziałem pięknej divy, lansowanej przez Hollywood, a tak nieoczekiwanie „atrakcyjnej" ze względu na jej niespodziane małżeństwo z egzotycznym, pięknym rumunem.

— Czy cieszy się pani z wyjazdu do Ameryki?

— Owszem, bardzo.

— Czy nie zamierza pani pracować dla angielskiej produkcji filmowej?

— Po upływie mego rocznego kontraktu z wytwórnią w Hollywood prawdopodobnie nakręcę wielki film śpiewaczy w Londynie.

— Która z gwiazd filmowych jest pani ulubienicą?

— Shirley Temple.

— A z gwiazdorów?

— Chaplin.

— Jaka jest ulubiona pani rola operowa?

— Małgorzata w „Fauście" Gounoda.

— Kogo pani uważa za króla tenorów?

— Zawsze Carusa.

Wszystkie te — tak bardzo konwencjonalne pytania — Geornescu już wczoraj przewertował z sprytnym reporterem i przygotował, bez porozumienia z Theą, równie konwencjonalne odpowiedzi.

Odpowiedzi te całkowicie zadawalniały dziennikarzy, których cała ta sprawa bardzo mało obchodziła. Szło tylko o rzucenie tłumom jakichś słów, niby to wyrzeczonych istotnie przez nową wielkość, której zimna, ale nieprawdopodobnie klasyczna uroda budziła podziw, gromadząc liczne zbiorowiska ciekawych przed redakcjami pism, propagujących wielkimi fotosami w witrynach piękność „boskiej Thei".

XII

Nienapisany list.

Gdy Geornescu odbywał swą komedjancką powinność, Thea siedziała przy biurku w jednym z pokojów wspaniałego apartamentu hotelowego i usiłowała napisać list do... Toma. Doszła do wniosku, że dziecięcy stosunek do życia, naprawdę infantylne ustosunkowanie się do wielu spraw, co zdążyła w pierwszej już fazie ich dziwnego „romansu" zauważyć w bokserze, nie daje jej prawa do zlikwidowania wszystkiego w sposób tak bezwzględny, oschły, a przytym pozornie trochę histeryczny. Zrobiła krok szalony, ale nie żałowała tego szaleństwa. Stokroć gorszym szaleństwem wydało się jej i dziś jeszcze wprowadzenie do życia tak zawsze równego, bez wstrząsów i kataklizmów uczuciowych, elementu egzaltacji, o którą przyprawiło ją dziecięce spojrzenie amerykanina. A Geornescu zjawił się nieoczekiwanie i [illegible] swej miłości wypowiedział Thei w godzinie rozterki, w chwili właśnie, gdy szukała ucieczki przed nieznanym dotąd niepokojem serca. Ten ognisty rumun, męski i piękny, a zarazem obcy i m ą d r y, wydał się jedyną formą ratunku, jedyną ucieczką przed budzącym się uczuciem. W Geornescu widziała człowieka, który potrafi rozumowo przeprowadzić wszystkie sprawy artystyczne (zauważyła, że orjentował się w nich znakomicie), potrafi utrzymać równowagę finansową, o co zawsze Thea zabiegała troskliwie, a przedewszystkiem człowieka, który — mimo zbliżenia — nie wytrąci jej z normalnego biegu życia. Sama myśl o niebieskich, dziecięcych oczach boksera budziła w sercu Thei tkliwość, wyrażającą się fizjologicznie w wilgotnieniu powiek. Było to groźne i niebezpieczne. Przytym... małżeństwo z bokserem! To już zbyt sensacyjne. To coś w sam raz dla jakiejś nieokiełznanej Lupe Velez, która nie wstydziła się Weissmüllera i jego pływackiej sławy. Ale Thea Bianchi? Primadonna wielkich Oper, dystyngowana i mądra wielkoświatowa dama? Nigdy.

Trzeba było uciec przed amerykaninem, postawić między nim, a sobą jakiś mur nie do przebycia. Tym murem był Geornescu. Mógł zresztą być nim każdy inny w danym momencie. Bo Thea musiała, po tej fatalnej nocy, a raczej po tym szalonym ś w i c i e, w którego brzaskach zasnęła w stalowych ramionach boksera — musiała skryć się przed wielką miłością w jakieś zimne ramiona „człowieka z głową".

Nie zastanowiła się tylko nad jednym: Że Geornescu też jest młodszy od niej.

Ta myśl przyszła dopiero dzisiaj.

(Dalszy ciąg nastąpi)

FILMY TYGODNIA

„DAMA KAMELIOWA"
(kino Bałtyk)

To już druga wersja filmowa słynnej powieści Dumasa. W pierwszej niemej oglądaliśmy Allę Nazimową i niezapomnianego Rudolfa Valentino. Sprawiło to, że więcej patrzeliśmy na niego, niz na nią. Tym razem było odwrotnie.

Greta Garbo osiągnęła zdaje się punkt szczytowy swojej twórczości. Jej „Dama Kameliowa" to dzieło natchnienia, kreacja najwyższej klasy, stawiająca wielką artystkę w rzędzie takich potentatek aktorstwa, jak pomnikowe nazwiska Sary, Eleonory, Modrzejewskiej, Poli Negri...



Greta Garbo w karykaturze

Wzruszony genialną grą artystki nie bez zadowolenia przyznam, że gdy poznałem ją przed 10 laty w Hollywood, jako młodziutką aktoreczkę, której nie bez obawy powierzono i to na prośbv ś. p. reżysera Stillera główną rolę w filmie „Torrent" (polski tytuł „Słowik hiszpański"), odrazu uwierzyłem, wbrew wielu sceptycznym głosom, w wielką przyszłość nikomu nieznanej Szwedki.

Na początku filmu była raczej po swojemu „Storczykowata" niż Kameliowa, w scenach końcowych znów sięgnęła na szczyty artyzmu aktorskiego. Jej sceny śmierci Małgorzaty Gauthier — to arcydzieła, w promieniach tych arcykreacji bledną wszyscy inni — ale fluid geniusza zapalił iskrę talentu i w Robercie Taylorze — uważanym dziś za jednego z najprzystojniejszych amantów filmu.

Epizody wspaniałe. Jedna scena Lionela Barrymora oddana wstrząsająco. Tło, reżyseria, wyczucie epoki, ponad wszystkie pochwały.

L. B.

JEDNA NA MILION
(kino „Stylowy")

Niedobrze jest, jeżeli się film przereklamuje. Widz spodziewa się Bóg wie czego i normalny, dobry, nawet bardzo dobry film już nie wywiera tak korzystnego wrażenia, jak powinien. Typowym takim nie to, że przereklamowanym, ale poprostu fałszywie reklamowanym filmem jest „Jedna na milion", debiut filmowy Soni Henie. Idąc na ten film człowiek spodziewa się jakichś nadzwyczajności, a tymczasem — nic podobnego. Rzecz jest bardzo zwykła. Zaangażowano Sonię Henie, jako atrakcję i trzeba było do tego dorobić scenariusz. Rzecz nie jest łatwa i dla tego scenariusz jest nieco naciągnięty. Ale żadnych innych wad film nie posiada. Przeciwnie, same zalety. Sonia Henie może wcale nie grać, wystarczy, aby dokonywała swych nieprawdopodobnie fascynujących tańców lodowych. To już dość, by zachwycić każdego nawet najbardziej wymagającego widza. Niepotrzebnie nawet fatygowano do jej otoczenia takie „armaty" aktorskie, jak Adolf Menjou (impresario) i Jean Hersholt (ojciec Soni), zwłaszcza, że pierwszy jest w zupełnie niewłaściwej dla siebie roli. Moc uciechy ma natomiast widownia z trójki kapitalnych komików oraz scenki z orkiestrą na harmonijkach. Wyczyny tych dwóch grup są kwintensencją najbardziej modernistycznego humoru, jaki tylko sobie można wyobrazić. Może nie co zbyt „amerykańskiego", zbyt rubasznego i brutalnego, ale nieodparcie komicznego. Słowem, film ma moc zalet i jest bezwarunkowo godny ujrzenia pod warunkiem, że się widz uprzednio wyzwoli z fałszywej sugestii reklamowej.

„UCIECZKA TARZANA"
(kino „Światowid")

Na temat Tarzana można robić filmy niezliczone. Zawsze będą interesujące, bo zawsze przyjemnie oglądać bardziej lub mniej tresowane bardziej lub mniej dzikie zwierzęta. Miło też zawsze spoglądać na wspaniałą postawę Tarzana, zwłaszcza, gdy jest nim piękny olbrzym Johnny Weissmüller. Naogół film ciekawy i godny ujrzenia.

„TYLKO TY"
(kino „Hollywood")

Warto obejrzyć ten film przede wszystkim dla wykonawczyni głównej roli, którą jest przemiła i utalentowana Hortensja von Raky. Znamy ją w Warszawie „żywcem", bo bawiła tu kiedyś z Lianą Haid. Opromienia cały film swoim naturalnym wdziękiem i nieodpartym urokiem. Będziemy z zainteresowaniem oczekiwali dalszych filmów tej bardzo sympatycznej artystki.

Henryk Liński

Od własnego korespondenta

WYSTĘPY GOŚCINNE W TEATRZE KATOWICKIM

Dyrekcja teatru katowickiego sprawiła melomanom dużo radości — aranżując w ostatnim tygodniu gościnne występy — jugosłowiańskiego chóru akademickiego „Obilić", pieśniarki francuskiej Lucienne Boyer oraz artystów królewskiej opery w Bukareszcie: Dinu Bodesco (tenor) i Serban Tasiano (baryton) w operze Verdiego „Trubadur". — W „Trubadurze" wystąpili ponadto soliści opery warszawskiej — Franciszka Platówna, Emma Szabrańska i Bolesław Folański. Dyrygował kapelmistrz K. Bończa-Tomaszewski. Całość wypadła doskonale, przynosząc wykonawcom duży sukces i pełny aplauz widowni.

KINA KATOWICKIE

W Katowicach mieście istnieje 6 kinoteatrów, które cieszą się dużym powodzeniem, zwłaszcza, że właściciele starają się o odpowiedni dobór filmów. Mamy 3 kina zeroekranowe („Capitol", „Casino" i „Rialto") i 3 kina pierwszoekranowe („Colosseum", „Stylowy" i „Union"). Począwszy od najbliższego numeru podawać będziemy stały repertuar kin katowickich, oraz omawiać filmy pierwszy raz w Katowicach wyświetlane.

BALET W KATOWICACH

We wtorek dn. 13 b. m. odbył się występ gościnny baletmistrza polskiego Jana Cieplińskiego.

P. Ciepliński znany jest dobrze publiczności śląskiej, był on bowiem dyrektorem baletu opery katowickiej w latach 1922/23, tu też rozpoczął swą samodzielną pracę baletmistrzowską. W skład zespołu baletowego wchodzą: Ziuta Buczyńska, Jan Ciepliński, Zygmunt Dąbrowski, Jadwiga Hryniewiecka, Janina Leitzkówna, Halina Szmolcówna i Wacław Wierzbicki.

NOWA PREMIERA

W czwartek odbyła się premiera komedii Kiedrzyńskiego „Serce na wolności" wystawiona w teatrze katowickim w opracowaniu reżysera teatrów warszawskich Karola Borowskiego. Recenzję ze sztuki wydrukujemy w następnym numerze „X. Muzy".

Z TEATRU W SOSNOWCU

Sosnowiec, miasto przemysłowe o 120,000 mieszkańców — ma bardzo poważne tradycje teatralne. — Od kilku lat kieruje teatrem sosnowieckim, reżyser-inscenizator-dekorator, a zarazem aktor Jerzy Gołaszewski. Mimo ciężkich warunków teatr pracuje, a co najważniejsze zdołał pozyskać sobie ludność Zagłębia Dąbrowskiego, która tłumnie uczęszcza na wszystkie imprezy teatru.

Ostatnio teatr ma pecha, zachorował dyrektor Gołaszewski, odnieśli rany w katastrofie „Lux-Torpedy" aktorzy Krotke i Erwan — tak że zespół został zdekompletowany. Mimo to praca nie została przerwana i przedstawienia odbywają się normalnie.

By mogły się odbyć zapowiedziane jeszcze na bież. sezon premiery, zostaną doangażowane na resztę sezonu nowe siły aktorskie.—Jak się dowiadujemy, dyr. teatru prowadzi pertraktacje z Franciszkiem Brodniewiczem, znanym również z filmów („Wierna Rzeka", „Prokurator Alicja Horn" i inn.) — celem sprowadzenia go na resztę sezonu do Sosnowca. W razie pozytywnego wyniku — na pierwszy ogień z Brodniewiczem poszedłby „Dar Poranku". (id).

JAK OVOMALTYNA WALCZY Z TEATREM i KINEM

Reprodukujemy ogłoszenie, jakie ukazało się w całym szeregu dzienników;

> RZĄD 2 — BILET WSTĘPU — PARTER — NR. 17
>
> **Jak często wydajesz bez zastanowienia kilka groszy.**
> **Dlaczego wahasz się wydać je dla swego zdrowia!**
> **Zrezygnuj raz z przyjemności, a będziesz mógł kupić puszkę Ovomaltyny, która ma olbrzymie znaczenie dla twego zdrowia, podtrzymuje siły i zapobiega wyczerpaniu nerwowemu.**

Bez komentarzy. W dzisiejszych czasach, gdy się narzeka na to, że w budżetach naszych za małą pozycją są wydatki na potrzeby kulturalne, panowie szefowie „propagandy" od Ovomaltyny dają do zrozumienia, aby na teatr i film bez zastanowienia nie wyrzucać pieniędzy.

Cóż za bezmyślny sposób reklamy!

TEATR

W Kameralnym wystawiono komedię Vassary'ego p. t. „Małżeństwo". Sztuka ta ukazała nam typowe, nierozumiejące się współczesne małżeństwa z wszystkimi ich bolączkami i... tym trzecim, i zasługuje na powodzenie, zarówno ze względu na aktualność tematu, jak i doskonałą grę aktorów, specjalnie pań. Grywińska świetnie wywiązała się z roli młodej, duszącej się w jarzmie małżeńskim żony — i pełnej ochoty do życia, zalotnej flirtującej kobiety. Rożańska umiejętnie przeobraziła się w pokojówkę, i umiała doskonale dostroić się do środowiska, w którym się znajduje.

P. p. Fischerówna, Sobańska i Orleńska, każda b. dobra w swoim rodzaju. Adwentowicz pomysłowo odtworzył typ zapracowanego, roztargnionego — ale naprawdę kochającego męża, i jak zwykle był duszą przedstawienia. Reżyseria b. staranna.

Miłą niespodzianką był udział p. Orleńskiej, którą Warszawa pamięta z dawnych fars („Złota ciocia", „Polka z Ameryki", „Pan minister") i operetek (niezapomniana „Czardaszka" i „Królowa kinematografii). Czas zrobił swoje. Wprawdzie p. Orleńska nie utyła, ale gusta, publiczności się zmieniły. Ta świetna aktorka powinna przerzucić się do ról komiczek operetkowych, wszak tron po ś. p. Manowskiej i ś. p. Chaveau czeka na królową humoru.

„Pekis".

KRONIKA SPORTOWA

BIEG RASZYN—WARSZAWA



III zwycięzca

Pierwsza impreza tegoroczna o masowym charakterze zorganizowana przez Stołeczny Komitet radiofonizacji. Społeczeństwo nasze interesuje się sportem bardzo średnio i tylko podobne imprezy mogą wyprowadzić je z tego impasu. Publiczność nasza nie stanęła ani na jotę na wysokości zadania i nie wykazała cienia tego zainteresowania sportowego, co powiedzmy publiczność francuska. Słyszało się nawet głosy: „Po co oni tak lecą?" A już wchodzenie biegaczom dosłownie pod nogi, było normalne. To, co działo się na placu Marszałka na finiszu, było wprost nie do pomyślenia. Finiszujący biegacze przeciskali się przez tłum, niemogąc znaleźć mety. Policja nie mogła dać sobie rady, a całość wyglądała na jakąś niezorganizowaną akcję w małym prowincjonalnym miasteczku. Wartości sportowe tego biegu oczywiście są bardzo wątpliwe, jedynie można patrzeć na tę imprezę jako na propagandową. 1-miejsce przyznano Polonii, 2 — Orkanowi, 3 — Żagwi, 4 P. P. W. a 5 — Rezerwistom.

Biegiem tym P. U. W. F. zapoczątkował miesiąc propagandy sportu.

MIGAWKI TANECZNE

Niewątpliwie największym wydarzeniem tanecznym minionego tygodnia (poza; oczywiście, występem Kreutzberga, bo ten był w tygodniu bieżącym i zostanie w następnym numerze odpowiednio uczczony) były dwa filmy taneczne, które należy entuzjastycznie powitać, jako zaranie nowej ery w filmowaniu tańca polskiego. Wyświetlany w kinie „Bałtyk" znakomity „Kujawiak", a jednocześnie w kinie „Światowid" równie świetny „Krakowiak" i „Polka beskidzka" — są swego rodzaju arcydziełami i wzorami filmowego ujmowania tańców ludowych. Cały wstęp krajobrazowy i obyczajowy oraz barwne i malownicze naturalne tło są dowodem wielkiego wyczucia artystycznego reż. Cękalskiego. Na pochwałę zasługuje również operator Lipiński, którego zdjęcia świadczyły o wytrawnej znajomości rzeczy. Całość jest sfilmowana doskonale. Ujęcie fragmentaryczne, zbliżenia i dalsze plany są świetne, dowodem zaś wielkiej pomysłowości, a zarazem muzykalności realizatorów są zdjęcia „zwolnione", odpowiednio zilustrowane „zwolnioną" muzyką. Moc wielce oryginalnych pomysłów. Np. przebicia z mknącym po murawie koniem, jako symbolem rozhasania są niemal genialne. Wykonanie strony tanecznej przez zespół uniwersytetów ludowych pod kierunkiem J. Mierzcjewskiej spisał się bez zarzutu. To ten sam zespół, który reprezentował Polskę na międzynarodowym kongresie tańców ludowych w Londynie. Jest bardzo fotogeniczny, a pewna nieporadność jest tu nawet cenna i wskazana, bo czyni całość bardziej naturalną, pozbawioną sztuczności, bez której nie sposób byłoby się obejść przy tańcach artystów zawodowych.

Wszystkie produkcje „Wielkiej Rewii" przeplatane są tańcami zespołu Parnella. Wśród nich jest tylko jeden nowy p. t. „Maski" do muz. Wiehlera, ułożony i wykonany przez Zizi Halamę. Sam pomysł, oczywiście, nie jest nowy, bo już nawet na warszawskim konkursie międzynarodowym zaprodukowano kilka tańców w maskach, a jedna tancerka tego typu — Julia Marcus — otrzymała nawet specjalną nagrodę za ten rodzaj tańca. Jest to dziedzina, dająca pole do niezmiernie efektownych i różnorodnych możliwości. Trzeba przyznać Zizi Halamie, że doskonale wywiązała się ze swego zadania. Sama określiła swoją kreację w podtytule, jako „impresje taneczne w groteskowym ujęciu" i tak też było. Ukazała się więc najpierw, jako hotentocki „czarownik", umiejętnie markując dzikie podskoki i „straszenie". Następnie, jako „wścibska" z udatnym uplastycznieniem gorączkowej wszędobylskości. „Tango" było parodią „vampa" nieco mniej pomysłową. Zato „Wspomnienie" staruszki zdobyło największy sukces, dzięki łudzącej masce i doskonałemu upozowaniu. „Trwoga" miała należyty dreszcz zgrozy, „Greta Garbo" lepszą maskę, niż gestykę, a zabawną groteskowość obrazek o nieortograficznej nazwie: „niema jak Polska dzieweczka". Miało, zapewne być: „nie ma, jak polska dzieweczka", bo przecież nie chodziło tu o pokazanie niemej Polski, nieprawdaż? Nowa pisownia jednak czasem się na coś przydaje, usuwając nieporozumienie między pojęciem „niema (niemowa) i „nie ma" (brak). W odmłodzonej części zespołu najbardziej podobała się Dziekanowska, bardzo cenny nabytek, i doskonały piruecista — Woliński.

H. L.

NA MARGINESIE WYSTĘPÓW LUCIENNE BOYER

Któż nie ceni uroczego talentu przedziwnej pieśniarki Paryża, która potrafi zakląć w proste słowa prostej melodyjki radości i bóle duszy ludzkiej?

Wszyscy znamy ją z płyt, wszyscy rozkoszowalibyśmy się chętnie zetknięciem z głośną artystką, której występy odbyły się na scenie naszej Opery, tłumnie garnęliśmy się wszyscy do kasv, lecz przeraziliśmy się cen!

Ceny „słone" to mało. Na nasze stosunki ceny horrendalne. Trudno sławna gwiazda każe sobie płacić, rozumiemy i to jeszcze. Czy jednak gmach Opery warsz. po to został p. Mazarakiemu wydzierżawiony, by sprytny impresario nabijał sobie kabzę? Niech zresztą nabija sobie kabzę sprytny impresario, ale niech ta cała machinacja nie ma nic wspólnego z Operą warszawską.

Radują nas triumfy zagraniczne Hanki Ordonówny i z prawdziwym zadowoleniem stwierdziliśmy fakt, że sławna nasza pieśniarka była — jak to się mówi — „prolongowana" w berlińskim Wintergartenie na drugi program, (czyli na drugi miesiąc), życzymy jej takich samych powodzeń w Paryżu, ale nie ambicjonujemy wcale na tym punkcie by nasza „rodzinna Lucienne Boyer" koncertowała w gmachu Opery Paryskiej. Napewno jednak, gdyby jakiś tamtejszy impresario dopiął swego i z tych, czy innych przyczyn ulokował naszą Hankę w „Opera", nie byłoby tylu nietaktów, takiego naciągania na horrendalne dopłaty do biletów prasowych i aktorskich i t. p. wyczynów.

Czy p. O., pomysłowy impresario gwiazd (czasem przez omyłkę miernot) jest wielkorządcą magistrackiej i reprezentacyjnej Opery, a jeżeli tak, to może by sfery miarodajne oficjalnym tytułem dyrektora pierwszej polskiej sceny muzycznej obdarzyły p. O., sytuacja byłaby jasna, a p. Mazaraki nie potrzebowałby odgrywać marjonetkowej roli władcy, który własnej władzy się lęka.

„Pekis".

NA POLSKI BIAŁY KRZYŻ

Odbył się podwieczorek artystyczny w salonach Resursy Kupieckiej, zorganizowany przez Prezeskę generałową Wandę Orlicz-Dreszerową, mjr. Zajfertową i Kazimierę Horbowską. Udział na ten piękny cel wzięli pp. Loda Halama, Halina Arndt-Leska, Kazimiera Horbowska, A. Szlemińska, Fr. Jarosy, J. Czaplicki, L. Sempoliński i M. Znicz. Jedynie zawiodła p. Janina Brochwicz. Akompaniowali pp. prof. Ludwik Urstein, Boruński i Mira Wereszczyńska. Bawiono się znakomicie.

NAJSŁYNNIEJSZY CHÓR JUGOSŁOWIAŃSKI
przed mikrofonem Polskiego Radia

Dnia 20 kwietnia o godz. 16.30, wystąpi w Polskim Radio słynny jugosłowiański chór „Obilić" pod dyrekcją Svetolika Pascana-Keyanova i Branka Dragutynovica. Zespół ten jest jednym z najsłynniejszych chórów słowiańskich. Założony w roku 1884 przez kilku studentów ówczesnej Wielkiej Szkoły w Białogrodzie, wziął swą nazwę od imienia bohatera narodowego, wojewody Mikosza Oblica, który w walce o wolność ojczyzny zwyciężył sułtana Murata, na Kosowym Polu.

W roku 1893 Obilić przetworzył się w chór mieszany, zapraszając do współpracy studentki ówczesnej Wielkiej Szkoły (Uniwersytetu). Z biegiem czasu znaczenie Obilića wzrosło do tego stopnia, że pod jego sztandarem wvstępowali wszycy ci, których marzeniem była wolność i zjednoczenie ojczyzny. Pierwsze sukcesy zagraniczne odniósł zespół w r. 1902 w Turcji, w roku 1912 w Rosji.

Podczas wojny bałkańskiej, a następnie światowej, przerzedziły się szeregi Obilića, lecz po zjednoczeniu wszytkich ziem w wielką Jugosławię, odradza się na Uniwersytecie w Białogrodzie, rozpoczynając dalszą działalność kulturalną. W roku 1925 zdobywa w Polsce wielkie sukcesy występując w szeregu miast polskich z bogatym programem opartym na pierwiastkach pieśni ludowych.

Ostatnie lata, chór „Obilić" spędzał na podróżach po Europie, zdobywając sukcesy zasłużone w roku 1925 w Polsce, 1927 w Grecji, 1928 w Austrii i Belgii, 1929 w Czechosłowacji, 1932 w Szwajcarii, 1934 w Rumunii i Bułgarii. Rok 1932 przynosi zespołowi wielkie międzynarodowe wyróżnienie w postaci pierwszej nagrody na światowym konkursie chórów akademickich w Monachium. W roku tym Polska w rewanżu za krzewienie sztuki polskiej w świecie, nadaje zespołowi order „Polonia Restituta". Jedną z najpoważniejszych pozycyj repertuarowych „Obilića" stanowi arcydzieło nieodżałowanej pamięci Karola Szymanowskiego „Stabat Mater". Szczegóły wyżej podane, niewątpliwie zwrócą baczniejszą uwagę szerokich sfer radiosłuchaczy, na występ tego świetnego zespołu.

REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10—14 i 16—18

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 810 81.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 400, 1/2 strony—zł 240, 1/4 strony zł. 140, 1/8 strony — zł. 80. ogłosz. dwukolor. 50% drożej

1 milim. szerokości jednej szpalty (układ 5-cio szpaltowy) w tekście 40 gr., za tekstem 30 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. Prenumerata: rocznie zł. 7.20, 1/2 rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.810 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe. Warszawa I. Nr. 226.

Wydawcy: JÓZEF KISELHOF i I. ROTSZTADT - MIASTECKI. Druk. Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46. Redaktor WŁODZIMIERZ ŁOHAZA